LUCYAN RYDEL

POEZYE

I

Z rysunkami Stanisława Wyspiańskiego

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1899

POEZYE

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

LUCYAN RYDEL

POEZYE

I

Z rysunkami Stanisława Wyspiańskiego

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1899

Дозволено цензурою.
Варшава, 30 Января 1898 г.



Wstań pieśni!...

Konstantemu Górskiemu.

Wstań pieśni, wstań z drgających strun
I dzwoń i dźwięcz;
Przez blask wieczorny złotych łun,
Przez tryumfalne łuki tęcz
Płyń w lazurową nieba toń
I dźwięcz i dzwoń.

Pod tobą w dole, w dole gdzieś,
Wśród lip i brzóz,
W zielonych sadach cicha wieś
I świegot ptasi w gąszczach łóz
I dymy, które wiatru dech
Gna z niskich strzech.

Pod tobą łany chlebnych zbóż
I wstęgi rzek
I szafirowe tafle mórz
I skalnych szczytów srebrny śnieg,
Pod tobą w chmurach śpiący grzmot
I orłów lot...

O płyń przez gwiazd promienny pył
W otchłanie sfer,
W zawrotny wir ognistych brył,
W szkarłatny odmęt krwawych skier,
W blask opalowy — leć i toń
I dźwięcz i dzwoń!

Paryż 24. II. 1897.

W Maju.

Pani Maryi Koscielskiej.

Słońce majowe w ognia koronie
Za las się czarny chowa,
Strzechy i sady, pola i błonie
Owiała mgła różowa.

A w tej złocistej blasków powodzi,
W sukience z gwiazd utkanej
Powiewna jakaś postać wychodzi
Na szmaragdowe łany.

Bielą się z dala śnieżne jej szaty
Po łąkach i po lesie
A wietrzyk za nią chodzi skrzydlaty
I rąbek szat jej niesie.

Na piersi drobne złożyła ręce
I płynie po przeźroczu,
Jakby zdumienie jakieś dziewczęce
Z jej dużych patrzy oczu.

Czasem kosiarzy, co trawę sieką
Na łąkach widzi w dali,
Albo rybaków zgiętych nad rzeką,
Co się od zorzy pali.

Czasem kobiety mija nad strugą,
Piorące białe chusty,
Patrzy za niemi rzewnie i długo
Z uśmiechniętemi usty.

A gdy po drodze dziecko napotka,
Co w polu pasie krowy,
Wtedy podchodzi cicha i słodka
I włos mu gładzi płowy.

Wierzby garbate przy każdej strzesze
Kornie się przed nią kłonią,
Kwiatów u nóg jej klękają rzesze,
Modląc się do niej — wonią.

Grają koników polnych kapele
Z chórami żab złączone,
Echo rozwiejne do nóg jej ściele
Tę dziwną antyfonę.

I przez wieczorną ciszę się niosą
Litanie te olbrzymie...
Płynie po świecie z wilgotną rosą
Jej wniebowzięte imię.

Kraków 1892.

Z pól.

Patrzę i patrzę na ogromne łany,
W ciszę słoneczną, gdzie nad morzem kłosów
Stoi rozwarty błękit nieba szklany, —
Gdzieś po za krawędź tych bladych niebiosów
I pól, podobnych rozlanemu złotu
Chciałbym tak odejść precz — i bez powrotu;

Bo tu gdy jestem coś mi w sercu rwie się,
Tak smutnie ku mnie szumią kłośne żyta,
Wiatr białe puchy polnych ostów niesie
I każda wierzba przydrożna mnie pyta:
— »Pamiętasz? Dawniej byłeś tu szczęśliwszy!«
I muszę płakać, twarz w dłoniach ukrywszy.

Bławatki na mnie patrzą z pośród zboża
Okiem szafiru — i maki czerwone,
Jakby mówiły: »Choćbyś szedł za morza,
Gdziekolwiek pójdziesz, w każdą świata stronę
Zabierzesz serce krwawiące i chore!«
— Prawda — zabiorę, krwawiące zabiorę.

Warszawa 1896.

Wieczory.

Paniom Antoninie Górskiej
i Antoninie Ordężance.

I.

Lubiłem na wsi złote lipcowe wieczory,
Kiedy krwawą pożogą gmach niebieski płonie,
A słońce na ognistym konające tronie
Depce chmur cielska, jako czerwone potwory.

I zgliszcza dogasają i bledną kolory
I ziemia zwolna w mroku szafirowym tonie,
A z łąk wilgotnych siana zalatują wonie
I chórów żabich głośne płyną rozhowory.

Księżyc poprzez topole świta złotorogi,
Echa zmieszanych głosów lecą gdzieś od drogi:
Pobrzękują uprzęże i gwarzą parobcy...

A potem cisza była. I gwiazd mleczne rzeki
Myśl moją tęskną niosły w świat jakiś daleki
W świat szeroki, ogromny i dziwny i obcy.

Paryż 9. III. 1897.

II.

Poszedłem w świat ogromny, daleki, nieznany,
I wśród obcego tłumu sam wieczorem chodzę,
Gdy zachód, w purpurowej paląc się pożodze,
Ognie kładzie na wodach zielonej Sekwany.

Patrzę, jak dymów rude kłębią się tumany
Na tle złocistych blasków — i oczyma wodzę
Po szczytach wież, co w niebo lecące, po drodze
Skamieniały i w łunie kąpią się różanej.

I tak mi smutno w duszy! — Wiem, że za powrotem
Znów tam siędę przed dworem w zorzy świetle złotem
I księżyc nad topole wypłynie rogaty.

Żaby rechotać będą, pachnieć będzie siano
W noc letnią, cichą, słodką, gwiazdami usianą —
Lecz ja inny już będę, niż wtedy, przed laty...

Paryż 18. III. 1897.

W uśpionym lesie.

Stanisławowi
i Helenie Estreicherom.

Księżyc wyszedł i płynie jak łódź pozłacana,
Niebo wisi niezmierne, bezdenne jak morze,
Chmur lotny puch szybuje przez jasne przestworze
Srebrząc się, jako morska białogrzywa piana.

Niebo wisi niezmierne, bezdenne jak morze,
Tatry czernią się w dali, jak grzbiet Lewiatana.
Srebrząc się, jako morska białogrzywa piana,
Śnieg osiadł granitowy zrąb, co błękit porze.

Tatry czernią się w dali, jak grzbiet Lewiatana,
Wichry po turniach w dzikim huczą rozhoworze,
Śnieg osiadł granitowy zrąb, co błękit porze —
A w koło mgła, z miesięcznej poświaty utkana.

Wichry po turniach w dzikim huczą rozhoworze,
Dolina leży cicha, snem zaczarowana,
A w koło mgła z miesięcznej poświaty utkana,
Jakby rąbek wzorzysty, co ocienia łoże.

Dolina leży cicha, snem zaczarowana,
Milczy las smukłych świerków o brodatej korze..
Jakby rąbek wzorzysty, co ocienia łoże,
W górze, ciemnych gałęzi sieć wisi splątana.

Milczy las smukłych świerków o brodatej korze,
Paproć kryje świerkowych korzeni kolana,
W górze ciemnych gałęzi sieć wisi splątana,
Mdłe półblaski, półcienie majaczeją w borze.

Paproć kryje świerkowych korzeni kolana,
W powietrzu woń, lecz kwiatów dostrzedz wzrok
[nie może,
Mdłe półblaski, półcienie majaczeją w borze,
Księżyc wyszedł i płynie jak łódź pozłacana.

Kraków 1891.



Jesienią.

I.

Z nad pastuszego wstające ogniska
Błękitne dymy w powietrzu się wloką
Daleko, szeroko
Na czarne role, na płowe ścierniska.

We mgle majaczą białe grzbiety wołów
I pługi — rzędem ciągnące na roli
Leniwie, powoli,
Pod niebem szarem i ciężkiem, jak ołów.

Wron stada kraczą nad zoraną smugą
I za wołami krzyczą poganiacze
Żałośnie i długo,
A wiatr w pożółkłych drzewach cicho płacze.

Paryż 1897.

II.

Żółte listki brzóz
Dygocą, dygocą,
Bo je dzisiaj nocą
Zwarzył siwy mróz.

I padają z drzew,
Jak ulewa złota,
Po ziemi je miota
Wiatru zimny wiew.

Źle tym liściom, źle,
Co zleciały z drzewa
Wicher je rozwiewa
Na deszczu, we mgle.

Lecą z ostrym tchem
W zawieję okrutną —
Jak tym liściom smutno,
Ja najlepiej wiem...

Rżyska, Październik 1897.

W Parku.

Samotny błądzę ogromną aleją,
Gdzie nagie drzewa, szeregami dwoma
We mgle jesiennej bez końca czernieją
Z wyciągniętemi błagalnie rękoma
Ku sinym chmurom, co nad światem wiszą,
Jak gdyby groźba czarna, nieruchoma.
A wody w stawie przerażone ciszą
W szkliste i martwe ścięły się zwierciadło
I ani zadrgną, ani zakołyszą
Żółtymi liśćmi, których tyle spadło
Z brzóz pochylonych nad topielą senną.
Pośród pni siwych, jak ciche widziadło
Bieleje Psyche i lampę kamienną
Trzyma nad głową w nadkruszonej ręce,
Patrząc w dal twarzą smutną i niezmienną.
Mchami porosły jej piersi dziewczęce
I z oczu szare ociekły jej smugi,
Jak gdyby ślady łez, wylanych w męce,
W tęsknocie niemej, beznadziejnej, długiej...

Warszawa 1895.



Pustka.

Kazimierzowi Tetmajerowi.

Nad śniegów pustą, bezbrzeżną równiną
Zachodnich zarów gaśnie rąbek wązki,
A wierzb umarłych bezlistne gałązki
We mgle czerwonej kratę czynią siną.
W mroku, co w śniegi błękitnawo pada,
Kołują zwolna czarnych ptaków stada
Nad śniegów pustą, bezbrzeżną równiną.

W głuchej martwocie białe śpią zagony
I tylko czasem wichry — płaczac — wydmą
Z powiewnych puchów jakieś blade widmo,
Które nad pustką chudemi ramiony
Chwieje — i w śnieżny zapada się wyłom,
I znów, ogromnym podobne mogiłom,
W głuchej martwocie białe śpią zagony.

Berlin 1895.

W noc miesięczną.

Antoniemu Stadnickiemu.

W błękitną, cichą noc miesięczną
Ktoś na skrzypcach gra,
Melodya płynie falą dźwięczną,
W powietrzu jasnem drga.

I brzozy stoją zasłuchane
W harmonię słodkich brzmień...
Księżyc na białą dworu ścianę
Rzuca gałązek cień.

Coraz namiętniej, rzewniej, mięcej
Rozbrzmiewa skrzypiec ton,
Jakby żałosny płacz dziewczęcy
Z dalekich leciał stron.

I brzozy w księżycowem srebrze
Rozwiały siwy włos,
Słysząc, jak żali się i żebrze
Łkających skrzypiec głos...

Wiedeń 26. III. 1898.

Żale.

Niechże ja tak sam nie stoję
Z moim smutkiem i rozpaczą,
Niechże gwiazdy choć zapłaczą
Zaglądając w okno moje.

Niechże mam choć litość czyją
I samotnie się nie męczę,
Wodę z morza piją tęcze,
Niech i moje łzy wypiją...

* * *

Żale moje nie dla ludzi,
Oni czują tylko własne,
Niech mnie jeno — kiedy zasnę —
Nikt nie woła, nikt nie budzi!

Paryż 18. IV. 1897.

Patrząc w księżyc...

Widziałem szkliste martwych wód obszary
Na okół taflą rozlane stalową
I niebo miałem kamienne nad głową,
Wykute całe z jednej chmury szarej.

A z głębi tego wodnego cmentarza
Wychodził księżyc, jak białe widziadło;
Westchnęły wody i niebo pobladło,
Bo księżyc w twarzy miał coś, co przeraża.

I stanął wielki, zimny, nieruchomy,
Wpatrzony w nurtów odmęt zwierciadlany
I trupie blaski kładł na skalne ściany
I w ołowiane chmur czarnych załomy.

Bezbrzeżna pustka leżała wokoło,
Bo prócz mnie z żywych nie było nikogo —
I drżałem zdjęty dziwną jakąś trwogą —
A księżycowy blask mroził mi czoło.

Czułem na sobie te zimne promienie
Jakgdyby ręce śliskie i kościane,
Czułem, że jeśli w tej chwili nie wstanę,
To mnie śmiertelne ogarnie stręt wienie

I że przyrosnę do skał martwą skałą,
Miesięcznych blasków zaklęciem uśpiony;
Chciałem wstać, krzyczeć, biedz w dalekie strony —
Lecz mnie przykuwał księżyc — twarzą białą...

Kraków 1894.

O zmroku.

Pani Idalii Pawlikowskiej.

Jakby o zmroku zabłąkane ptaki,
Tak myśli moje lecą gdzieś ode mnie
W kraj dziwny jakiś, ja sam nie wiem — jaki.
Byłem w nim kiedyś, ale dziś daremnie
Spoglądam w Lety zamglone zwierciadło,
Szukając czegoś, co na dnie przepadło...

Czasami przecież widzę jakby we śnie
To samo leśne pół-senne jezioro:
Z brzegu szuwary i zielone pleśnie
I powalone pnie ze rdzawą korą,
W pośrodku tafla rozlewa się gładka,
A lilie wodne świecą na niej zrzadka.

I drzew olbrzymich sklepione konary
Tworzą nad wodą kopułę zieloną.
Pod nią ze słońcem, pomrok igra szary.
Barwy i kształty błysną, i znów toną

I sieć utkana z cieniów i promieni,
Na wód krysztale miga się i mieni.

Wśród ciszy tego leśnego kościoła,
Co z fal posadzkę, z gałęzi ma stropy,
Słyszę, że ktoś mnie po imieniu woła
I słyszę czyjeś szeleszczące stopy,
A zioła leśne drżą na tamtym brzegu,
Jakgdyby w szybkim potrącone biegu.

Ale naprózno patrzą moje oczy —
Mgły z nad topieli wstają coraz bledsze,
Wszystko przedemną mąci się i mroczy,
Raj mój się zwolna rozpływa w powietrze
I płakać mi się chce dziecinnym płaczem,
Chociaż sam nie wiem ni za kim, ni za czem.

Kraków 1890.

Przystań.

Jest przystań jedna spokojna i cicha,
Owiana mgłami, nakryta pomroką,
Kędy w ciemnościach żaden wiatr nie wzdycha,

Gdzie gnuśne wody rozlane szeroko
Nie śmią uderzać o skaliste złomy,
Co ponad martwą piętrzą się zatoką.

Na skałach siedzi Sfinks — i nieruchomy
Umarłą przystań trzyma w swojej straży
I szklistej toni bezkresne ogromy

Woda odbija siność jego twarzy
I wielkie ciągle otwarte powieki,
W których się jakaś tajemnica waży.

Siedzi, źrenice w przestwór wbił daleki,
Jakgdyby temi krwawemi oczyma
Widział w ciemnościach mijające wieki.

Umarłą przystań w straży swojej trzyma,
Do której wiecznie czarne płyną łodzie,
Chociaż ich żagli żaden wiatr nie wzdyma.

Bez szmeru suną, bez plusku po wodzie,
Chwieją się tylko w jednostajnej mierze
I bieg ich ledwie śliskie nurty bodzie.

Blade anioły w łodziach są przy sterze
A na pokładzie stoją smętne duchy
Bielmem ócz trupich patrząc na wybrzeże,

Na ten ląd ciemny, skalisty i suchy,
I na twarz Sfinksa ołowiano siną,
Który się ciszy przysłuchuje głuchej.

Tak pochylone nad czarną głębiną,
Z rękoma kornie na krzyż złożonemi,
Duchów gromady coraz nowe płyną.

I zawijają pielgrzymowie niemi
Do tej zatoki nieznanego świata,
Gdzie ani dzwony pogrzebowe z ziemi,

Ni jęk żałoby ludzkiej nie dolata.

Paryż, luty 1897.

Nad morzem.

Tam — w dalekościach, gdzie nić złota dzieli
Bezmiary niebios od wodnych bezmiarów,
Stoi krąg słońca w płomiennej topieli
Dwóch łun ogromnych, dwóch krwawych pożarów.

Na płynnych wałów ryczące odmęty
Blask długą, prostą kolumną się wali
I rozstrzelony skrzy się — i pogięty
Jak wąż ognisty na drgającej fali.

Rozkołysanych zwierciadeł krawędzie
Palą się żarem, pękają w okruchy,
Złociste bryzgi wyrzucają w pędzie
I perłowymi bałwanią się puchy.

Z głuchym pogwarem wodny zrąb na zrębie
W płynącą ścianę zbija się i spiętrza,
Z wyciem zapada w rozdziawioną głębię,
Z jej zielonego znów się dźwiga wnętrza.

Na oślep gnana, grzmi ta bezdeń cała,
Skowyczy, płacze, wspina się i wzdyma,
Dziwaczne jakieś kłębią się w niej ciała:
Potworne syny słonych wód olbrzyma.

Wiją się, plączą oślizłe kadłuby,
Krwawi się czerwień paszczęk i podniebień,
Czasem się z wody kark wynurza gruby
I nagle na nim szklany błyska grzebień.

I pogwar cichnie — w otchłań ciemną uszli
Twarz tylko sina z toni się wyszczerza,
Odyma wargi i huczy na muszli,
Aż echa biją w skaliste wybrzeża...

Tam nurt promienny kryształem się łamie,
Jakby rozcięty ostrzem srebrnej skrzeli
I morska dziewka śnieżne wznosi ramię
I pierś różaną — z nad wodnej pościeli.

Warszawa 1895.

Wszystko mi jedno.

(W albumie B. R.).

Nie pytam, co mnie czeka — nie dbam, dokąd płynę,
Gnany siłą przeznaczeń ślepą i bezwiedną —
Za mną wybrzeża wspomnień, przedemną mgły sine,
Płynę i wszystko mi jedno...

Przeżyłem, przekochałem lata moje młode,
Sny moje, jako róże więdniejące bledną,
Czasem je sam obrywam i rzucam na wodę,
Niech giną — wszystko mi jedno!

I brzegi coraz dalej i róż w mojej dłoni
Coraz mniej — a mgły gęste na okół nie rzedną
I nigdzie, nigdzie lądu na bezmiernej toni
Płynę i wszystko mi jedno.

A jednak tyle pragnień, żądz i marzeń tyle
I tyle tęsknot wstrząsa piersią moją biedną —

Chcę szczęścia, chcę miłości — dzień... godzinę...
[chwilę...
Niechaj czarę upojeń jednym tchem wychylę —
A potem... wszystko mi jedno!

Kraków 26. II. 1898.

Przekleństwo.

Przekleństwo łzom, które się próżno leją,
Gdy burza wre dokoła
I huczy grom,
Gdy trzeba trwać z odwagą i nadzieją
I nie uginać czoła —
Przekleństwo łzom!

Przekleństwo snom, które się próżno marzą,
Gdy spłonął dach nad głową
I runął dom,
Gdy trzeba wstać i ze spokojną twarzą
Budować gmach na nowo —
Przekleństwo snom!

Przeklęta jest — po trzykroć jest przeklęta
Ta małoduszność blada
Co znosi srom
I sama lot własnego ducha pęta
I w trwodze więzy wkłada
Swym łzom i snom.

Kraków 7. XI. 1897.

Moja wiosna.

Pani Elizie Pareńskiej.

Otwarli okno — jakaś fala świeża
Twarz mi powiewem oblała i szyję,
Chłodzi mi usta, pierś mi rozszerza,
Z jej tchnieniem zdrowie mi wraca — i żyję...

Na ręce moje przez otwarte okno
Padł promień słońca, jak gdyby ptak biały,
Nawet w tej szklance, gdzie fijołki mokną,
Smugi słoneczne w tęczę się złamały...

W blaszanych dachach, jak w zwierciedle złotem
Twarz nieba z góry przegląda się cicha —
A tam, na dole, bruki grzmią łoskotem
I miasto gwarem, jak morze, oddycha.

Mówią, że wiosna — a ja wyjść nie mogę.
I patrzę ciągle na te szare ściany,

Tylko mi czasem pada na podłogę
Od okna — promień słoneczny, świetlany...

Mówią, że wiosna... Jak tam, gdzieś — daleko
Młodymi liśćmi pękać muszą drzewa,
Jakie tam strugi z łąk wilgotnych cieką,
Jak się tam ziemia do słońca wygrzewa,

Jak pachnie zagon świeżo rozorany
I pług na czarnych skibach jak połyska!
— Pewnie już białe wróciły bociany
I przez zielone brodzą trzęsawiska...

Kraków 1894.

Z daleka.

Serce mi się wciąż wyrywa
Do dalekich moich stron,
Do tej ziemi ukochanej
Serce mi się wciąż wyrywa...
U nas teraz na wsi żniwa,
Złotokłosy pada plon,
Śpiewką żeńców dźwięczą łany,
Głos po niebie się rozpływa,
A na kłosach wiatr przygrywa,
Jak na harfie wyzłacanej.

Śpiewką żeńców dźwięczy niwa,
Na południe bije dzwon
I przy drodze wierzba siwa
Da gromadzie spracowanej
Cień blaskami przetykany...
— Mnie tu wpośród obcych stron
Śnią się ciągle takie żniwa
I ta wierzba i te łany
I do ziemi ukochanej
Serce mi się wciąż wyrywa!...

Paryż 15 lipca 1897.

Mitologie



Meduza.

Józefowi Mehofferowi.

Twarz jej widzę w ciemnościach, dech jej czuję bliski,
Pochyla się nademną zielona i sina,
Na jej czole wybladłem rój wężów się wspina
I w łusek centkowanych mieni się połyski.

Prężą się, kurczą w drgawkach, rozdziawiają pyski,
Z migotliwych języków ocieka im ślina
I świszcząc, każda ku mnie wzdyma się gadzina,
By na szyję swój pierścień zarzucić mi śliski.

Ale stokroć straszniejsze, niż oślizłe gady,
Których splot wściekły syczy, gmatwa się i kłębi —
Są te dwie łzy czerwone na jej twarzy bladej.

Żaden mróz tych piekielnych kropel nie oziębi,
Płyną, krwawe po sobie wypalając ślady:
Tak rozpacz tylko płacze w ducha czarnej głębi...

Paryż 20 marca 1897.

Faun i Najada.

Jackowi Malczewskiemu.

W porannej mgle i ciszy śpią bory stuletnie,
Pełne mrocznych tajemnic. W pośrodku polana
Traw zielenią pokryta i słońcem zalana,
Na niej złote dziewanny zakwitają świetnie.

U zdroju Faun młodzieńczy dmie w trzcinową fletnię
A melodyę powtarza ciemnych lasów ściana
I po kamieniach woda wtoruje mu szklana
I pszczoła, kiedy brzękiem jasną ciszę przetnie.

I zatopiony w słodkim swej piszczałki śpiewie
Faun kozłonogi, grając, nie widzi i nie wie,
Że się z źródła wychyla trwożliwa Najada.

Wodny szuwar wilgotną rozchyliła ręką,
Stoi oczarowana srebrzystą piosenką,
Słucha... słucha — i z oczu łza po łzie jej pada.

Paryż w maju 1897.

Centaur i kobieta.

Leonowi Kowalskiemu.

Gwiazdy bledną. Powiewnym oparem nakryta
Równina w dal się ciągnie gładka, nieskończona
Aż gdzieś, kędy — jak rzeka ognisto czerwona —
Pod zielonawem niebem krwawa pręga świta.

Cisza. Nagle po rosie zagrzmiały kopyta,
Głośny jęk się rozlega i bez echa kona,
Grzbiet koński we mgle miga i białe ramiona
I płowa struga włosów na wietrze rozwita.

Ponad tą jasną głową i tem śnieżnem ciałem,
Koło którego śniade ramię się oplata,
Chyli się inna głowa ciemna i brodata:

To Centaur, co kobietę w objęciu zuchwałem
Nagą, mdlejącą niesie rozhukanym cwałem —
...Nikną w mgłach... tętent cichnie... lecą na kraj
[świata...

Paryż d. 26 czerwca 1897.

Psyche.

Janowi Stanisławskiemu.

Ze srebrnych gwiazd na ziemię pada nocna rosa,
Z ziemi w otchłań szafiru płynie ciche tchnienie
I z kwiatów rozmarzonych woń wieczorną żenie
I z wód lekką mgłę zbiera i niesie w niebiosa.

Na wzgórzu stanął księżyc i patrzy z ukosa
Przez aleję cyprysów, co nieporuszenie
Czernieją na tle nocy, jak wysmukłe cienie —
Pod cyprysami błądzi Psyche jasnowłosa.

Idzie lotna niesiona skrzydłami motyla,
Co lśnią od złotych żyłek na perłowej błonce;
W jej ręku płomyk lampy różany migota —

Idzie i nad kwiatami przystaje co chwila:
Może wśród kropel rosy w kielicha obsłonce
Szuka łez, które ludzka wylała tęsknota?...

Paryż 28 czerwca 1897.

Parki.

Stanisławowi Wyspiańskiemu.

Słońce we krwi umiera. Zapadło w połowie
A jeszcze się ogląda z po-za gór łańcucha,
Jeszcze po mętnem niebie rudą łuną bucha,
Lecz dołem noc już idzie na skalne pustkowie.

Wicher w szczelinach targa zioła jakieś wdowie
Jęczy... cichnie i echa własnych jęków słucha,
Jakby trwożny, czy skarga nie doszła do ucha
Zgrzybiałych mar, co siedzą na głazach w parowie...

Wybladłe, siwowłose w pomroce się bielą:
Jedna przędzie zgarbiona nad szarą kądzielą
I nić — koścista ręką — rzuca drugiej siostrze,

Która ciernie i kwiaty w drżącą przędzę wije.
Trzecia, drzemiąc, kołysze naprzód i w tył szyję
I przez sen w wyschłych palcach ściska nożyc ostrze...

Paryż 29 czerwca 1897.

Syreny.

Teodorowi Axentowiczowi.

Morze, zielone morze w niezmiernej przestrzeni,
A nad niem księżyc mleczny w błękitnej przeźroczy;
Świetlisty nurt za nurtem z daleka się toczy
Śnieżny pianą, iskrzący błyskami promieni...

Od czarnych skał ku niebu wionął śpiew syreni —
Leżą na głazach, w księżyc wbiwszy łzawe oczy,
Na pierś dziewczęcą woda ścieka im z warkoczy,
Od bioder łuska rybia tęczowo się mieni.

Śpiewają. I pieśń leci, omdlewa i gnie się
Dziwna, smętna, cudowna, podobna ich ciałom:
Na dnie mórz urodzona w koralowym lesie...

— Nagle jedna wskazała po-za skalny załom:
Żagiel, w dali, na mętnym, srebrnym widnokresie —
Śpiewają... Żagiel płynie... płynie wprost — ku skałom!

Paryż d. 4 lipca 1897.

Orfeusz.

Zygmuntowi Badowskiemu.

Jesień — na niebie chmury, jako popiół szare,
W lasach drzewa pożółkły rdzawo i jaskrawie
I suche liście leżą na spłowiałej trawie
Z rzadka tylko paproci zielenieje parę.

Brzegiem leniwej rzeki, kędy wiązy stare
Zwieszają się gałęźmi ku piaszczystej ławie,
Orfeusz — zadumany w pół śnie, pół na jawie
Idzie, wlokąc za sobą na taśmie cytarę.

Jak ptak, schwytany w sieci, gdy mu skrzydła utną —
W głuchym żalu na piersi schylił głowę smutną,
Chciałby śpiewać i płakać po swej Eurydyce,

Ale próżno twarz dłońmi zasłania obiema,
Próżno się za nim wlecze lutnia jego niema:
Pieśń mu w gardle zastygła i wyschły źrenice...

Paryż d. 17 lipca 1897.

Erynnie.

Antoniemu Kamieńskiemu.

Po nocnem niebie lecą chmur zwichrzone stada,
Lecą, jako potworne czarnopióre sępy
Przez ich skrzydła podarte i rozwiane w strzępy
Światłość miesięczna czasem przebija się blada.

Marmurowej świątyni biała kolumnada
Świta i znowu gaśnie wśród oliwnej kępy
I znowu ją wysrebrza sierp księżyca tępy
I na stopniach ruchome cienie drzew rozkłada.

Po wschodach wbiega człowiek — a za nim okropnie
Śmieją się jakieś głosy — i wężowe bicze
Świszczą nad nim... On pędem stanął już u bramy...

Zamknięte drzwi spiżowe! Twarzą padł na stopnie
I kraj szaty nasuwa z jękiem na oblicze,
A na szacie czernieją krwi zastygłej plamy.

Paryż d. 24 lipca 1897.

Diana i Endymion.

Konstantemu Laszczce.

Miesięczny blask na strugi srebrzyste rozbity
Pada w mroczną głąb lasu po przez drzew konary
I strop leśny jest nakształt sklepionej pieczary,
A promienie księżyca, jako stalaktyty.

Kolumnady pni czarnych i powiewne kity
Paproci koronkowych cień rzucają szary —
Cisza — tylko w oddali grają gdzieś ogary
I echo przez bór leci srebrnym snem spowity.

Z ciemnych gąszczów Diana wybiega dziewicza,
Na włosach krąg promienny, w ręku łuk ma giętki...
Wtem stanęła śpiącego widząc Endymiona...

Patrzy — ujęta czarem sennego oblicza,
Pochyla się nad śpiącym cała zapłoniona
I na ustach mu kładzie pocałunek prędki...

Kraków 23 grudnia 1897.

Danaidy.

Włodzimierzowi Tetmajerowi.

Jest w Hadesie ponura skalista dolina,
Słońce się nad nią wiecznie w ciemnej kryje chmurze,
A dnem jej stroma ścieżka po pod skał podnóże,
Jak wąż po głazach pełza, wije się i wspina.

Tą ścieżką Danaidy — białych widm drużyna —
Idą niosąc na głowach pełne wody krużе
I chylą czoła blade, jak więdnące róże
I pod ciężarem gną się, wiotkie jako trzcina.

Rzędem, jedna za drugą zwolna idą boso
Wzdłuż nagiej, czarnej ściany przez gruz i przez ciernie
I ślad swych stóp rozdartych znaczą krwawą rosą.

Idą wiedząc, że znowu w bezdennej cysternie
Przepadnie gdzieś ta woda, którą w krużach niosą
I cierpią beznadziejnie, napróżno, bezmiernie...

Kraków 8 grudnia 1897.

Leda.

Leonowi Wyczółkowskiemu.

Zachód łuną rozgorzał — pół nieba się pali,
Ognista kula słońca sieje blask jaskrawy
I topnieje w potokach rozżarzonej lawy,
Wpośród smug rubinowych i ławic korali.

Świetlana toń jeziora w złotych zmarszczkach fali
Odbija i przelewa niebios pożar krwawy,
Lasem płomiennych mieczów sterczą wodne trawy,
A cień od nich na brzegu jest jak błękit stali.

Nad wodą siedzi Leda — pochyliła głowę
Wpatrzona w dal spojrzeniem szklanem, nieruchomem,
Gdzie śnieżny łabędź ginie we mgły purpurowe...

Z dziwu lęku i szału nie ochłódła jeszcze,
W płonącem, nagiem ciele czuje zimne dreszcze
I siedzi — zórz odblaskiem różowa i sromem.

Kraków 24 grudnia 1897.

Pegaz.

Karolowi Maszkowskiemu.

Poczuł na sobie jeźdźca — wytęża do góry
Skrzydła grające blaskiem stubarwnego pierza,
Leci — z ogromnym szumem błękity przemierza,
Krąg tęczowy lotnymi zataczając pióry.

A jeździec — pieśniarz młody — niesiony w lazury,
Śpiewa i w srebrne struny do wtóru uderza
I pieśń cudowna płynie w słoneczne bezbrzeża
Dźwięczna, jak sfer nadgwiezdnych harmonijne chóry...

Tam — gdzieś w dole, na łanach strudzeni żniwiarze
Prostują się, podnoszą uznojone twarze,
Potężnej pieśni w niemym słuchają zachwycie;

Oni — zawsze nad niską pochyleni glebą,
Wzrok przesłoniwszy ręką, patrzą teraz w niebo
I duszą zatonęli na chwilę w błękicie

Kraków 17 marca 1898.



Bajka o Kasi i Królewiczu.

Stanisławowi Wyspiańskiemu.

Nie miała Kasieńka ojca ani matki,
Ino miała oczy, jako dwa bławatki,
Usta jak dwie wiśnie, liczka jak dwie zorze
I na służbie była Kasia we królewskim dworze.
Oj Kasiu, Kasieńko!

I musiała w zimie od samego rana
Rąbać kłody drzewa na drobne polana
I myślała sobie: »Jak zrąbię te kłody,
Któż przy ogniu się ogrzeje? Ten królewicz młody...«
Oj Kasiu, Kasieńko!

I musiała latem w gorące południe
Iść po jasną wodę z konwiami pod studnię
I myślała sobie: »Jak naniosę wody,
Któż się to w niej będzie kąpał? Ten królewicz młody..«
Oj Kasiu, Kasieńko!

I co noc musiała szorować na czysto
Szczerozłote schody, podłogę srebrzystą
I myślała sobie: »Jak wymyję schody,
Któż to po nich będzie chodził? Ten królewicz młody!«
Oj Kasiu, Kasieńko!

— Gdy na łowy jechał z dworskimi i z psiarnią,
Wychodziła Kasia na strych nad piekarnią,
Wyglądała za nim dymnikiem ze strychu,
Płakać jej się czegoś chciało — po cichu, po cichu —
Oj Kasiu, Kasieńko!

II.

Cóż na to powie pan kucharz,
Iż go ty, Kasiu nie słuchasz?
Posłał cię co żywo
Do lochu po piwo,
A ty go, Kasiu, nie słuchasz.

Uszła przez ciemną drewutnię,
Bo ją coś gnało okrutnie
W te gaje, dąbrowy
I w bór ten sosnowy —
Tak ją coś gnało okrutnie!

Czy po stokrocie, po dzwonki
Biegniesz, Kasieńko na łąki?
Oj dzwonki, stokrocie
Nie tobie sierocie —
Nie biegnij, Kasiu, na łąki!

Czy na poziomki, maliny
Idziesz do leśnej gęstwiny?

Maliny tam w borze
Nie dla cię, nieboże —
Nie chodź do leśnej gęstwiny,

Co jej tam kwiatki, jagody?
Ino królewicz ten młody!
W te gaje, dąbrowy,
W bór ciemny na łowy
Jedzie królewicz ten młody.

Jemu korona ze złota,
A tobie, Kasiu, robota,
Nie takiej sierocie
Królewicz we złocie
— Tobie, Kasieńko, robota!

Dźwigaj ty wodę i drewno,
Jemu się żenić z królewną,
Na nic twa uroda
I łez twoich szkoda —
Żebyś ty była królewną!...

III.

Huczą trąby po lesie,
Rozgłos wiatrem się niesie
Na cztery świata strony.
Jedzie królewicz, jedzie
Przed panami na przedzie,
A konik pod nim wrony,

Migło mu się przez zieleń,
A on myślał, że jeleń:
Śmignęła prędka strzała...
Trafił Kasię w pierś lewą
I upadła pod drzewo,
Krwią się ciepłą zalała.

— »Com ja zrobił! Niech zginę
Za tę biedną dziewczynę!
Biegajcie w mig dworzany
I przywiedźcie ze dwora
Najstarszego doktora,
Bo krew uchodzi z rany«.

— »Szkoda dla mnie doktora:
Jestem Kaśka ze dwora!
Ino tego się boję,
Co pan kucharz mi powie,
Kiedy o tem się dowie...
Dostanę ja za swoje!«

— »Nie bój się ty nikogo,
Ino powiedz, niebogo,
Czy bardzo boli rana?
Takaś blada, jak chusta,
Takie sine masz usta,
Kasieńko ty kochana!«

— »Troszkę boli, nic prawie...
Lecz nie klękaj na trawie,
Mój królewiczu młody,
Bo tu pełno krwi świeżej,
A ty w złotej odzieży,
Narobisz sobie szkody«.

— »Niech tam odzież ubroczę,
Milsze mi twe warkocze,
Niźli korona złota —
Niech się odzież ubroczy,
Milsze mi są twe oczy,
Niż dech mego żywota.

Za łzy twoje i męki
Naści pierścień z mej ręki:
        Turcy mi go przysłali —
Za krew twoją rumianą
Niechże ci się dostaną
        Cztery sznury korali«.

— »Jam nie skarbów łakoma,
Daj się objąć rękoma,
        Uczyńże mi tę wolę:
Pókim żywa, nie żałuj
Ino całuj mnie, całuj,
        Królewiczu sokole!«

Paryż w lutym 1897.



Chopin: Preludyum N. 15.

Z tchnieniem wiosny melodya płynąca
Skąd ma dźwięki czarowne i tony?
Czy gwiazd promień o promień się trąca?
Czy to wonnych traw szemrzą miliony?
Czy o tarczę srebrzystą miesiąca
Uderzają chmur skrzydła powiewne?
Czy sam księżyc po modrych fal toni
Strugą drżącej światłości swej dzwoni?
Może pienia zawodzi te rzewne

Skryta w gąszczach słowików gromada —
Może rosa kroplami opada
Na zaledwie rozkwitłych drzew liście,
Co z pękniętych wychodzą obsłonek?
Może wietrzyk wilgotny w przelocie
Śnieżnobiałych konwalii gnąc kiście,
Bije dzwonkiem perłowym o dzwonek?
Może ze snu zbudzone stokrocie
Drobne płatki stulają do środka..?
Czyli może to serce me własne
Taką nutę zaklętą wydzwania?
— Ja sam nie wiem, skąd piosnka ta słodka
Bierze dźwięki urocze a jasne,
Pełne czarów i pełne kochania...
Dzwoń mi pieśni, dzwoń pienie łabędzie!
Niechaj słyszę, choć w grobie już zasnę:
— »Ona kocha, jest twoją — i będzie!«

A jeśli pieśni tej słowa
Kłamią cudnymi dźwiękami?
I kłamie wiosny wymowa?
Jeżeli księżyc mnie mami
Srebrzystem swojem obliczem?
Jeśli, co mówią gwiazd krocie
Kłamstwem, a więcej jest niczem?
Jeśli słowików chorały
Kłamią mi pieniem zwodniczem?
Jeśli konwalje, stokrocie
Skłamały — wszystkie skłamały?

Wtedy przekleństwo wam kwiaty,
I wam śpiewacy wy leśni
I wam przekleństwo, gwiazd światy!
Przekleństwo tobie, o pieśni!...

Smutku ptak mi ponad głową
Czarne skrzydła swe rozpina
I zawodzi pieśń grobową;
Ziemia leży trupio sina
Nad nią gwiazdy, jak gromnice
Mętnem, bladem światłem płoną;
Słońce trwożne skryło lice
Poza rdzawych chmur zasłoną...
Skąd ten wicher? — Z taką mocą
Rozszalałe śle podmuchy,
Szarpie, targa gwiazd łańcuchy...
Gwiazdy mdleją, drżą, migocą,
Wicher niemi w takt kołysze,
Gwiazda się o gwiazdę trąca:
Dzwonią, jęczą — słyszę... słyszę
Szczęk okropny gwiazd tysiąca!

Pękły! W czarnych sfer otchłanie
Zapadają gwiazd okruchy,
Gdzieś w ciemności oceanie
Szumi, huczy wicher głuchy.
Tarcza słońca popękana
W mgieł czerwonych kręgu tonie,
Brocząc jakby krwawa rana

Na nieskończoności łonie:
Zesiniało i pobładło,
Zatoczyło się i spada,
Mknie w pomrokach, jak widziadło —
Zgasło! — Biada, biada, biada!
Obłąkana gdzieś w przestworze
Ziemia chwieje się podemną...
Och, runęła w bezdeń ciemną! —
— Boże, gdzie Ty jesteś, Boże!?

. . . .

5 Czy to ten jest, gdzieś w raju wyśniony?
Znów melodya ta słodko płynąca,
Znów te dźwięki czarowne i tony —
Nic harmonii nie miesza, nie zmąca.
Na mem czole czy dłoń Cherubina
Taka lekka, tak miękka i drżąca —

Ach, to ty — to ty, moja jedyna!

Gdzież się podział świat okropnych mar?
Tak mi dobrze, woń twych czuję tchnień,
Źrenic twoich ogarnia mnie czar —
O, nie odchodź, zostań ze mną już
I pod skrzydeł weź mnie swoich cień,
Jako Anioł-Stróż!

Kraków 1891.

Nokturn.

Nim świt ze srebrnych wybłyśnie wrót
I trawy uperlą się rosą,
Nim róż purpurą zakwitnie wschód
I słońce swą twarz złotowłosą
Wykąpie w chłodnej topieli wód,
Nim ptaki swój hejnał podniosą,

Nim kołysana wiatrami łódź
O kwietne potrąci wybrzeża —
Na szyję ty mi ramiona rzuć,
Wiośniana ty moja i świeża
Chcę pierś twą młodą przy mojej czuć
I czuć jak w niej serce uderza...

Lubieżnym ruchem fala się gnie
I w dali rozlewa się niemej,
Nabrzeżnych lasów odbija pnie
I złotych gwiazd chryzantemy;
Płyniemy, dokąd? — nie pytaj mnie...
Gdzie nurt nas poniesie — płyniemy.

Przed łódź na wodę gdy rzucisz kwiat
Za jego łódź będzie szła śladem,
Za mgłą, co smugę lotnych ma szat
I mokrych brylantów dyadem —
W zaczarowany płyniemy świat
Pod niebem gwiaździstem a bladem.

* * *

Szuwary wiotką podnoszą kiść
I w cichym szeleszczą pogwarze,
A wodnych lilii szeroki liść
Rozkłada się w płaskie wachlarze,
Jak gdyby ktoś miał ku nam tu iść
Po sennym jeziora bezmiarze.

Kto? — nie wiem... Czujesz wilgotny chłód?
Ptak nocny łopoce się w lesie,
Czernieje nagle zwierciadło wód
I liść nenufarów tych gnie się...
Po liściach śliski czy słyszysz chód?
— Strach nocny nad wodą się niesie..!

Berlin 1895.

Śnił mi się dziwny sen.

Śnił mi się dziwny sen. Po kwietnej łące
Szedłem przez jaskry i śnieżne stokrocie
I piłem wiosny oddechy pachnące,
A ptaki jakieś ogromne w przelocie
Cień białych skrzydeł kładły mi na głowę...
I szedłem zwolna po kwiecistej łące
Na życie nowe.

Śnił mi się dziwny sen. W każdym kielichu
Tych polnych kwiatów żywe serce drgało
I kwiat mi każdy mówił coś po cichu;
Po rosie ku mnie szło przez łąkę całą
Szeptanie kwiatów dalekie, echowe,
I coś mnie w każdym wołało kielichu
Na życie nowe.

Śnił mi się dziwny sen. Z oddali ku mnie
Kochanka dawna szła przez jasne kwiaty
Podobna greckiej wysmukłej kolumnie
I w rozpuszczonych fałdach białej szaty
Kwitnące niosła gałązki wierzbowe —
Chciałem ją wołać: »Chodź ku mnie, chodź ku mnie
Na życie nowe!«

Prześnił się dziwny sen. Oto mnie budzi
Deszcz, co w jesienną noc po rynnach dzwoni.
Gdzie łąka? kwiaty z sercem jak u ludzi?
Kochanka dawnych lat?... Nie myśleć o niej!
Widzenia kwietnych snów, bywajcie zdrowe
Nic mego serca z letargu nie zbudzi
Na życie nowe!

Kraków 1894.

Hania



H a n i a.

I.

Leci piosenka moja skrzydlata
Na krańce świata
Przez mroczny bór,
Nad jasne pola, nad modre rzeki,
Gdzieś w kraj daleki
Za grzbiety gór...

I śpiewna płynie jaskółczym lotem
W powietrzu złotem
Błękitnych dróg —
Aż przyleciała moja piosenka
I kornie klęka
U twoich nóg.



II.

Królewna moja idzie przez łąki.
Nad kwieciem się pochyla
I zbiera małe dzwoneczki lila
Te blade polne dzwonki.

A każdy dzwonek dźwięczy i dzwoni
W liljowe swe kielichy
O tem, co dzisiaj wśród nocy cichej
Mówiłem gwiazdom o niej.

Królewna moja idzie przez łąki,
Dzwonienia ich nie słyszy,
Nie wie, com gwiazdom rzekł w nocnej ciszy
I tylko zbiera dzwonki.



III.

Nie będę z tobą mówił o wiośnie:
O tem, jak drzewa puszczają pąki,
Jak złoty jaskier nad wodą rośnie
I w jasne niebo lecą skowronki,
Jak rozorane pachnące role
W słońcu oparem srebrnym się kurzą —
O tem ja milczeć przy tobie wolę
Rzekłbym dwa słowa... za dużo!

IV.

Idzie wiosna i sieje pył złoty
Słonecznych promieni,
Wierzby dźwięczą wróblimi świegoty
W gałązek zieleni,
Ziemia kwitnie, iskrząca się rosą
Przez łzy się uśmiecha,
Ciepłe tchnienia z nad roli gdzieś niosą
Zapachy i echa...

Ty, jak wiosna — tak idziesz siejąca
Czar słodki oczyma,
Czar, co struny mej duszy potrąca
I pierś moją wzdyma,
Coś mi w sercu się śmieje i kwitnie,
I śpiewa i płacze
Tak mi w oczach słoneczno, błękitnie,
Gdy ciebie zobaczę.

V.

Choć nie mam pól, choć nie mam łąk,
Ni lasu całych włók —
Mam nieba strop i świata krąg
Aż gdzieś po tęczy łuk.

Mam złoto gwiazd, purpurę zórz
I perły mlecznych dróg,
Szmaragdy niw, szafiry mórz,
Opale mglistych smug.

Mam każdy pąk rozkwitłych drzew
I róż pachnący dech,
I lasów szum i ptaków śpiew
I tysiąc brzmień i ech.

Lecz wszystko dam: ten cały świat
I pieśni srebrny zdrój
I wszystek czar młodzieńczych lat
Za pocałunek twój!

VI.

Gdy mi się wszystko w koło mroczy,
Gdy się powszednim trudem znużę —
Wtedy mi patrzeć daj w swe oczy,
W oczy swe czarne, ciche, duże...

Kiedy się ugnę w twardej męce
I gdy w bezsilnym smutku stoję —
Ty mi na czole połóż ręce,
Ręce swe miękkie, słodkie, moje!

VII.

Ani ty moja, anim ja twój:
    Próżno mi, Haniu, o tobie śnić,
    Pryśnie marzenia pajęcza nić
I snów tęczowych prześni się rój,
    Ja w swoją drogę, ty w swoją idź,
    Próżno mi, Haniu, o tobie śnić,
Ani ty moja, anim ja twój!

VIII.

Na kwitnącej, na jabłoni
Słowik dzwoni
Tak srebrzyście, tak miłośnie
O tej wiośnie,
O młodości, o kochaniu...
— Słyszysz, Haniu?

IX.

Wiatry zwiały
Ten kwiat biały
Z pachnącej jabłoni,
We mgle bladej
Stoją sady
I słowik nie dzwoni.

Później, wcześniej
Sen się prześni
I kochać przestanę...
— Pod powieką
Łzy mnie pieką,
Łzy niewypłakane!

X.

Szumny wichrze głuchych pól
Poleć jak najdalej,
Zabierz z sobą gorzki ból,
Co mnie w sercu pali.

Zabierz z sobą gorzki ból,
Niech przestanie boleć —
Szumny wichrze głuchych pól
Na kraj świata poleć!

Warszawa, w maju 1896.



Dotąd widzę.

Dotąd widzę to wiosenne rano
I tę łąkę kwiatami usianą,
Białymi kwiatami,
W słońcu grały złotych muszek roje
I byliśmy sami,
Wśród zapachów, ciszy i promieni.
I w milczeniu szliśmy obydwoje
Tchnieniem wiosny młodej upojeni,

Na pół tęskni, na pół uśmiechnięci...
— Widzę dotąd jasne oczy twoje —
Wszystko przeszło — w oku mi się kręci
Łza!

I sad widzę cały w śnieżnej bieli,
Gdzieśmy razem w południe siedzieli
Pod kwietną czereśnią —
Chór ptaszęcy śpiewał w niebogłosy,
Cały sad bił pieśnią,
Czasem z gęstwy wołała kukułka.
Słońce blaskiem złociło niebiosy
I przez drzewa kładło jasne kółka
Na stokrocie, na skroń twą dziewczęcą,
Na murawę i na twoje włosy...
Wszystko przeszło — w oczach mi się kręcą
Łzy, łzy, łzy!

Woysławek 22 października 1897.



Anima exul.

Na dzień Zaduszny.

Dusza dziś ze mnie wychodzi płacząca
I pióra kąpiąc w mroków oceanie,
Leci — wierzchołki lip skrzydłami trąca,
Aż na cmentarnych dzwonnicach przystanie.
Dzwonom na serca ręce kładzie obie
I słucha, w spiżu chcąc odnaleść tętna
Serc, które w proch się rozsypały w grobie.
Bo czyliż dzwonów pieśń przewlekła, smętna,
Bijąca w niebo kręgów dźwięcznych falą
Metalu tylko pustym jest rozbrzękiem?
Czy się w niej duchy umarłych nie żalą?
Czy się w niej wyciem nie skarżą i jękiem
Ci, których wszyscy żywi zapomnieli?
— I dusza moja zadumana o tem
Na dzikich grobach klęka, cała w bieli —
Na grobach, które porosły blekotem
I pokrzywami; a zbutwiałe krzyże
Chylą się, skrzypiąc na jesiennym wichrze,

A wicher na nich gra, jakby na lirze...
Jest w suchych liściach szept modlitw, co cichsze
I żałośniejsze, niż ludzkie pacierze
I jest zaduszna jakaś antyfona
W szeleście zżółkłych traw i drzew tych szmerze,
Co wyciągają wychudłe ramiona
Nad mogiłami pustemi, w mgłę siną.
I łzy wilgotne ściekają po próchnie
Omszonych krzyżów, i po głazach płyną
I cały cmentarz, zda się, że wybuchnie
Płaczem...
Skrzydłami powłócząc po ziemi
Powraca dusza moja żalem zdjęta,
I płacze cicho nad grobami temi,
O których żadne serce nie pamięta.

Kraków 1894.

Wieczerza Pańska.

Był wieczór Paschy: w milczeniu głębokiem
Siedli napoju pożywać i jadła —
Wieczernik szarym napełniał się mrokiem,

Pół-jasność zmierzchu, mglista i wybladła
Na stół białymi zasłany rańtuchy
I na ich twarze łagodnie się kładła

I cisza była; a w tej ciszy głuchej
Przez kratę okna powiew coraz rzadszy
Gnał z pól zielonych wiośniane podmuchy.

Pośród rybitwów tych ubogich siadszy,
Chleb w obie ręce wziął i kielich wina
I zadumany w twarze uczniów patrzy.

A w tych źrenicach Człowieczego Syna
Mistycznych brzasków grała jasność złota
I myśl ogromna jakaś — i jedyna...

Z ich oczu — serca patrzała prostota:
Pierwsi pić mieli z Kielicha Miłości,
Pierwsi pożywać mieli Chleb Żywota,

Iż byli, jako ptaki leśne — prości.

Kraków 1892.

Chryste, o Chryste!

Z barłogu mego, z czarnej nędz otchłani
        Do Ciebie wołam krwawym serca płaczem,
Jako żeglarze wichrami chłostani,
Jako pielgrzymi w zbłąkaniu tułaczem —
Z głębi mej duszy w przestwory gwiaździste
        Do Ciebie wołam krwawym serca płaczem:
                        Chryste, o Chryste!

I choć przesytem zmącone aż do dna,
        Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,
Jak ta spragniona rosy lilia wodna,
Co, łodygami grzęznąc w mętnem bagnie,
Twarz tęskną zwraca na zorze ogniste —
        Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,
                        Chryste, o Chryste!

Krom Ciebie niebo i ziemia mi zbrzydły,
        Ty jeden koisz smutki dusz sieroce,

Więc jak ptak błędny z podartemi skrzydły,
Do nóg Twych padłszy, duch mój się trzepoce
I wznosi na Cię oczy bolem szkliste...
Ty jeden koisz smutki dusz sieroce,
Chryste, o Chryste!

Usta do stóp Twych przebitych przyłożę,
Słodki Twych oczu spokój mnie ogarnie —
Znękany jestem, w nadchmurne przestworze
Rwałem się myślą i spadałem marnie,
Ścigałem ziemskich złud ogniki mgliste —
Słodki Twych oczu spokój mnie ogarnie,
Chryste, o Chryste!

Chwytam się Ciebie rękoma drżącemi
Nie daj mi zginąć w ciemnościach bezbrzeżnych!
Prochem jest ziemia, a jam prochem ziemi,
Lecz mnie nie strącaj z bieli szat Swych śnieżnych —
Stwórz we wnętrznościach moich serce czyste,
Nie daj mi zginąć w ciemnościach bezbrzeżnych,
Chryste, o Chryste!

Jam kwiat więdnący na życia łodydze,
Weź mnie do Siebie, bom już pójść stąd gotów,
Dość mi obłędów, które w koło widzę,
Dość mi już własnych upadków i wzlotów,
Weź mnie na ciszy łono wiekuiste,
Weź mnie do Siebie, bom już pójść stąd gotów —
Chryste, o Chryste!

Kraków 1891.



Biedne pieśni mojej duszy...

Biedne pieśni mojej duszy —
Co się z wami stanie?
Czy was przyjmą ludzkie uszy
I czy jaką pierś poruszy
Śpiewne wasze granie?
Może wicher was rozprószy,
Może przebrzmi w ciemnej głuszy
Śpiewne wasze granie...
Biedne pieśni mojej duszy,
Co się z wami stanie?

Zbierałem ja wasze głosy
W radościach i bolach,
Jako kwiaty pełne rosy,
Jak złociste, szumne kłosy
Po łąkach i rolach —
Szeptały mi wasze głosy
W każdej wierzbie srebrnowłosej
W brzozach i topolach,
Szły skowronkiem pod niebiosy,
Echem grały w polach.

I szły ku mnie cichą nocą,
Nocą księżycową
Nad wodami co się złocą,
Po tych gajach co szczebiocą
Słowików rozmową
I swą skargę, swą sierocą
Zawodziły z dziwną mocą
Ponad moją głową —
Zbierałem je cichą nocą
Nocą księżycową...

Zbierałem je w wichrów szumie
I w milczącej głuszy
I w zachwycie i w zadumie
I w tym żalu, co nie umie
Wyśpiewać się z duszy

I nosiłem w ludzkim tłumie,
Który pieśni nie rozumie,
Pełne dźwięków uszy —
Wypłakałem was w zadumie,
Pieśni mojej duszy...

Paryż w czerwcu 1897.



Spis rzeczy.

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.